

gdyby ktoś dotknął trumny, lub gdyby usłyszał turkot przejeżdżającego automobilu, czy powozu — wystrzelił po przez lustrzaną szybę, stanowiącą część wieka. Bardzo możliwe, że wyjdzie z tej walki pokonany, lecz cóżby to była za radość dla niego i ulga, gdyby jedna z kul zabłąkała się przypadkiem i ugodziła w zniecierpliwionego przeciwnika!

Właśnie w trakcie tych rozumowań Jana le Kerlacka zaszedł wypadek z kołem. Automobil z ogromną siłą został odrzucony na słup telegraficzny, który uległ zniszczeniu, a maszyna pokreśliła się trochę w miejscu, przewalając się na środku drogi, grzebiąc pod sobą obydwóch fakirow i służącego, Hindusa. Ale w ciągu tej katastrofy pękły sznury przytrzymujące trumnę!... i białe więzienie Jana le Kerlacka poleciało, odrzucone na kupę kamieni... Było to szczęściem dla nieszczęśliwego więźnia. Zawiasy trumny rozluźniły się do tego stopnia, że mógł on trochę wieko odchylić i wyciągnąć przed siebie jedną rękę — potem drugą! Teraz dopiero uczuł dotkliwy ból całego ciała i zaniepokoił się o całość swoich członków.

Ale nie!... mógł się poruszać do swobodnie. Nadzieja zaś wyzwolenia dodała mu tyle siły, że mógł rozsunąć jeszcze więcej wieko i wychylić głowę, przed którą trzymał nabity rewolwer. Nie potrzebował go jednak używać. W pierwszej chwili sądził, że się znajduje sam, na polu walki, co według strategicznych teorii, mogło już być uważane za zwycięstwo. Wyszedł więc ze skrzyni przekonany, że los sam dostatecznie się już zemścił na Gewolskim i że zwłoki jego zmasakrowane i zakrwawione ujrzy pod szczątkami płonącego już automobilu. I pomimo dobrego serca i chwilowego współczucia dla nieszczęśliwego, byłby Jan le Kerlack odszedł, nie próbując go ratować, gdyby uwagi jego nie zwrócił widok obuwi wcale nie europejskiego, wychylającego się z pod rozbitej maszyny.

To obuwanie nie mogło należeć do Gewolskiego! Okrzyknął automobil, pochylał się... i ku ogromnemu swojemu zdziwieniu rozpoznał, że to są indyjskie sandały. Wkrótce zaś dobiegł go głos sędziwego Fakira. Jan le Kerlack znał go już, gdyż to dla niego, na prośbę księcia Kiwani, uczynił był powiększone zdjęcie fotograficzne z portretu lorda Cateley.

— A tam do dyabła! — mruknął Kerlack — a gdzie jest ten dyabeł Gewolski?

W tej chwili młodszy fakir, zgrabny i gibki, wydostał się z pod automobilu. Zdumienie na widok Jana le Kerlacka nie było mniejsze od zdumienia tego ostatniego.

— Pan Morell! malarz księcia!

Jan le Kerlack nie myślał sprostować pomyłki Sandrala; skoro go miał za malarza Morela, to tem lepiej dla niego.

— Tak! Morell! w swojej własnej osobie — odpowiedział wesoło. — Tośmy widocznie podróżowali, nie wiedząc o sobie?

Młody fakir ze zdumieniem rosnącym obserwował malarza i chciał go właśnie prosić o wytłumaczenie tej zagadki — gdy rozległy się w bliskości strzały i szybki bieg automobilu.

— Będziemy zapewne mieli wiele sobie do opowiedzenia! — zawołał Sandral — ale na razie, czy zechce mi pan pospieszyć z pomocą!? Wydawałeś mi się pan zawsze dobrym i uczynnym człowiekiem! Jesteśmy poszukiwani przez władzę, pan zaś jesteś Francuzem i dlatego będziesz wspinałomyślny! Jeżeli mój stary towarzysz żyje jeszcze, nie chcę go za żadną cenę zostawić w rękach detektywów angielskich!

Stary fakir jęknął głucho, wydobywając się z pod maszyny, do czego dopomogła mu zręczność Sandrala i siła Jana le Kerlacka. Zdumiony widokiem malarza, chciał zwrócić się z zapytaniem do swojego młodego towarzysza, lecz ten ruchem ręki nakazał mu milczenie. Później, gdy niebezpieczeństwo minie, znajdzie się czas na wytłumaczenie, dlaczego zamiast dwóch, znalazło się ich trzech niespodziewanie, a właściwie czterech. Lecz ten czwarty, którym był szofer, najgorzej wyszedł z katastrofy. Gdy go ułożono na ziemi, stary fakir skonstatował, że miał piersi zupełnie zgniecione. Przed wydaniem

ostatniego tchnienia, zdołał wyszeptać, że detektywi znajdują się już w odległości dziesięciu minut drogi i wezwawszy opieki boga swojego Brahmy, skonał na rękach fakirow. Pomimo grożącego niebezpieczeństwa, fakir nad umarłym odmówił kilka modlitw w indyjskim języku, podczas gdy Sandral wskoczył ze zwinnością kota na drzewo i stamtąd badał drogę. Jan le Kerlack zaś dopiero teraz spostrzegł, że niema czapki i pobięł ją szukać w trumnie lakowej. Lecz gdy ją wyciągał, uczuł coś pod ręką... starą torbę z jedwabnej materii, napelnioną papierami.

— Wcale dobrze! — mruknął z zadowoleniem. — Jeżeli to nie są banknoty z Banku francuskiego, to w każdym razie coś równie wartościowego!

I zanim jeszcze fakir skończył swoje modły nad umarłym torba jedwabna zginęła w kieszeni Jana le Kerlacka, gdzie już był rewolwer.

Równocześnie Sandral schodził z drzewa i potwierdził słowa nieszczęśliwego szofera. Detektywi angielscy będą tu najdalej za dziesięć minut!

— Więcej niż nam potrzeba do uniknięcia z nimi spotkania — rzekł uspokajająco Jan le Kerlack.



— Jedziemy doskonale.

Nie zbadawszy nawet sytuacji, stanął od razu po stronie ściganych.

— Jednakże nie możemy tutaj pozostawić zwłok tego nieszczęśliwego.

Lecz w tej chwili ogień już zaczął obejmować ciało.

— Przeciwnie — rzekł Sandral dumnie — on tu pozostanie i zostanie spalony, tak jak palimy ciała naszych władców indyjskich i tym sposobem ujdzie dotknięcia rąk tych psów angielskich!

Mówiąc to, wyciągnął pięści w stronę, skąd przybyć mieli nieprzyjaciele i zaraz błagalnie zwrócił się do Jana le Kerlacka.

— Panie! jesteśmy obcy w tym kraju! Skoro chcesz nas ocalić, mów! Posłuchamy twojego rozkazu!

— Nie spieszmy się tak bardzo! — odparł spokojnie Jan le Kerlack — mamy jeszcze dosyć czasu! Wyciągnął zegarek.

— Ośm minut przed nami! Trzy minuty do namyslenia się, trzy do wykonania zamiaru. Przybędą jeszcze zapóźno. A teraz w krótkości odpowiadajcie na moje zapytania, bo przecież coś o was wiedzieć muszę, żeby się zorientować! Zdaje mi się, że tej nocy byliście zmuszeni opuścić pałac księcia Kiwani?

— Tak!

— Angielska policja chciała was zatrzymać?

— Dwóch najzdolniejszych detektywów.

— A wy, nie chcieliście opuścić Paryża, nie zabrawszy tego pudła? — Ręką wskazał na trumnę, do której nagle przypadł fakir silnie wzruszony. I podczas gdy Jan le Kerlack dalej wypytывał Sandrala, stary fakir gorączkowo czegoś szukał w trumnie. Jan le Kerlack śledził go jednym okiem.

— Wygrałem, zdaje mi się, wielki los z tą torbą jedwabną! — rzekł do siebie i zwrócił się do Sandrala:

— A więc udałeś się, kochany panie fakirze, do laboratorium doktora Gewolskiego, aby odebrać swoją własność. Otóż ja tam się ukryłem! Oto wszystko!

Twarz młodego fakira zdradziła takie przerażenie, że Jan le Kerlack roześmiał się serdecznie.

— Tak, tak! — rzekł wesoło. — To jedna z moich sztuczek! Wy tam w Indyach jesteście dość sprytni, ale i we Francji nie braknie takich.

Rozmowę przerwał fakir, który powracał od trumny lakowej dziwnie poruszony i przybity. Szepnął coś w narodowym języku towarzyszowi. Jan le Kerlack domyślił się, że oznajmia mu zaginięcie papierów. Sandral poruszył się niecierpliwie i machnął ręką. Późem coś mówił do starego fakira, wskazując ręką na Jana le Kerlacka. Fakir niedowierzająco spojrzał w twarz malarza. Wtedy Jan le Kerlack ujął za rękę Sandrala i prosił go o wytłumaczenie dalszych słów starcowi.

— Jednego dnia — mówił Jan le Kerlack — twój książę, twój pan, zakpił z ciebie porządnie, mój dzielny stary! Kazał ci siłą sugestyi ujrzeć pewnego Anglika, i ty drżałeś przed nim, jak dziecko! Otóż obraz tego Anglika to ja zrobiłem, rozumiesz, za pomocą powiększającego aparatu fotograficznego. Nie nudź nas więcej i nie trać czasu na próżne przetrząsanie trumny. Czas nam w drogę! Idźcie za mną!

Przedtem jednak położył się na ziemi i nadsłuchiwał. Wstał z zachmurzoną twarzą i skinął na fakirow.

Gdy uszli pięćdziesiąt metrów, skreślił na prawo, w stronę lasu, rozkazał Sandralowi przejść jeszcze pięćdziesiąt metrów i wdrapać się, pozostawiając za sobą widoczne ślady, na wysoki przykop, okalający las. Uczynił to samo z fakirem. Detektywi pobiegła za tymi śladami i przekonani, że zbiegi pojedynczo ukryci między drzewami kierują się w stronę wschodnią, podążają za nimi. Był to pierwszy plan Jana le Kerlacka. Co do drugiego wystarczyło mu tylko skinąć na Sandrala, który od razu odgadł myśl jego. Powrócili tą samą drogą, lecz idąc tyłem, wstępując ostrożnie w te same ślady i tak powrócili na miejsce gdzie dopalał się automobil.

Wtedy odezwał się Jan le Kerlack:

— Zdaje mi się, że dla tak młodego i zręcznego fakira nie będzie trudno jednym skokiem, nie dotyka-

jąc ziemi, skoczyć z tego miejsca prosto do lasu?

— Wystarczy mieć mocne nogi i wygimnastykowane ciało — odpowiedział uśmiechając się Sandral.

I jednym rzutem ciała dostał się na przekop, skąd wyciągnął rękę do starego fakira, który nie czuł się na siłach do tak akrobatycznej sztuki. Lecz i on stanął na wskazanym miejscu, podrzucony silną ręką Jana le Kerlacka. Tenże zaś nie dowierzając już bardzo sile swoich nóg, przypomniał sobie czasy dzieciństwa i posiłkując się rękami i głową, jak strzała przebył przestrzeń, nie zostawiając najmniejszego śladu obuwi za sobą. Natychmiast ukryli się w lesie i z małego kopca, który odnaleźli, mogli widzieć nadjeżdżający automobil. Obydwaj detektywi stali z rewolwerami w ręku. Jan le Kerlack ze swoimi towarzyszami był tak blisko nich, że mógł usłyszeć wściekle wykrzykniki Wiliama Perkinsa i Johnniego, gdy ci zdali sobie sprawę z przegranej. Jednakże agenci nie tracili czasu na poszukiwania w bliskości miejsca, gdzie wydarzyła się katastrofa.

(Ciąg dalszy nastąpi).